

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 18 (4/2016) – październik/grudzień 2016

ISSN 2299-5692

copyright © eleWator, Szczecin 2016

redagują:

Marcin Bałczewski (komiks), Andrzej Fogtt (sztuki plastyczne),
Krzysztof Lichtblau (sekretarz redakcji), Paweł Nowakowski (proza),
Paweł Orzeł (redaktor naczelny), Damian Romaniak (film),
Karol Samsel (eseje i szkice), Kamil Sipowicz (muzyka),
Maja Staśko (poezja polska), Leszek Szaruga (krytyka literacka,
zastępca redaktora naczelnego), Miłosz Waligórski (poezja zagraniczna)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Łeś Belej (Kijów),
Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Anna Frajlich (Nowy Jork),
Artur Daniel Liskowacki (Szczecin), Beata Patrycja Klary (Gorzów Wielkopolski),
Monika Petryczko (Szczecin), Małgorzata Południak (Dublin),
Andrzej Turczyński (Koszalin), Andrzej Wasilewski (Paryż),

redakcja techniczna: Iwona Kępisty

korekta: Anna Borowicka i Anna Nowakowska

grafiki na okładce: Anna Sztwiertnia

grafiki i obrazy w numerze: Mohamed Amine Hamouda

zdjęcie na 216 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca: Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy

adres do korespondencji: 71-141 Szczecin, skrytka pocztowa nr 39

siedziba: 71-467 Szczecin, ul. Mariana Rapackiego 2

www.elewator.org / klichtblau@elewator.org

www.fundacja-berezy.org / biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja współfinansowana ze środków Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



intro	5	Marta Zelwan, *** (małe drzwiczki do lata...)
Afryka	6	Daniel Kasprowicz, Rubiny, duchy przodków i czerwony lateryt Madagaskaru
	21	Agnieszka Szelega, Wybuchowe dorastanie. O książce Alexandry Fuller <i>Dziś wieczorem nie schodźmy na psy. Afrykańskie dzieciństwo</i>
	24	Malwina Bakalarska, Kto ma zegarki a kto ma czas? O koncepcji czasu i rozwoju w ujęciu filozofów afrykańskich
	27	Milka Stępień, Czy Nollywood podbije świat? O nigeryjskim przemyśle filmowym
	33	Agata Balsamo, Haniebny tekst
	39	Judyta Krawczyk, Afropolacy
	51	Marta Krawczuk, Magia Afryki w szczecińskim muzeum
	58	Tomasz Bohajedyn, Sen o kolonii, czyli polsko-niemiecka rywalizacja w Kamerunie 1884-1885
	63	„Czy nie śni ci się Czarny Kontynent?” Afryka w filmowej klasyce. Z Anną Pietras rozmawia Damian Romaniak
proza	76	Dariusz Muszer, Pole Czaszek (fragment powieści)
	86	Wojciech Kłęczar, Jak dojechać do centrum
	89	Kazimierz Kyrz Jr & Michał J. Walczak, Teoria z haczykiem
poezja	92	Zbigniew Machej, Kwestionariusz Ondrušowski
	96	Ján Ondruš, Niemiecka rewizja 1944, Ślepy mam twarz, Kamień, Chleb ze stołu
	99	Zbigniew Machej, Poeta w piekle totalitaryzmów
proza	112	Ryszard Lenc, Nad morzem
	116	Grzegorz Strumyk, Czwarta rano historii
	120	Marta Kucharska, Vera
poezja	130	Nina Manel, Kopiec Kościuszki, Na wiosnę, Śnieżka, Bawełna
dziennik	132	Bogusław Kiere, Notesprospera (fragmenty)
z Krakowa	140	Tomasz Bohajedyn, Ósemka nienawistników znad Wisły
z Poznania	144	Jerzy Beniamin Zimny, Rewizja wyroku
z Ciężkowic	149	Waldemar Bawolek, Święty Barnabo, zmiłuj się nade mną
sztuki plastyczne i architektura	150	Andrzej Fogtt, Artyści 2

krytyka literacka	154	Alicja Łukasik, W poszukiwaniu utraconego sensu (Piotr Gajda, <i>Śruba Archimedes</i>)
	156	Mateusz Hachlica, Snucie toksycznych relacji (Marek Czuku, <i>Igły i szpilki</i>)
	158	Adam Buszek, Pięć liter (Stanisław Balbus, <i>Zosia</i>)
	161	Paulina Barańska, Enzensberger, Pułka i Kasiarz (Dawid Mateusz, <i>Stacja wieży ciśnień</i>)
	162	Anna Łozowska-Patynowska, „Zaczytać się” głębią (Krzysztof Syrek, <i>O przenikaniu</i>)
	165	Maja Messyasz, Poety podróż metafizyczna (Wojciech Dunin-Kozicki, <i>Umysł na posyłki i wiersze na przechadzki</i>)
	168	Leszek Szaruga, Pro / za i przeciw. 12 (Wiktor Jerofiejew, <i>Akimudy</i> ; Władysław Chodasiewicz, <i>Powrót Orfeusza</i> ; Siergiej Stratanowski, <i>Graffiti</i>)
	171	Jakub Pyda, Opowiadania, które przeczytałem (Jarek Westermarck, <i>Opowiadania, które napisałem</i>)
	174	Wanda Skalska, Twarz miasta (dotąd) bez twarzy (Artur Daniel Liskowacki, <i>Ulice Szczecina (ciąg bliższy)</i>)
	175	Mateusz Dworek, Gombrowicz spotyka Geneta (Piotr Seweryn Rosół, <i>Genet Gombrowicza. Historia miłosna</i>)
	177	Damian Nowicki, Jestem ciałem (Christopher Hitchens, <i>Śmiertelność</i>)
	180	Krzysztof Lichtblau, Przeszłość odtworzona na VHS-ie (Olga Drenda, <i>Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji</i>)
	181	Agnieszka Szelega, Pod osłoną wspólnoty (Jon Krakauer, <i>Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija</i>)
	183	Damian Romaniak, Podróż do kraju mistrza z La Manchy (Anna Sikorska, <i>Hiszpania w filmach Pedra Almodóvara</i>)
	187	nadesłano
komiks	188	Jarosław Kozłowski, Z bibliotecznego teki. 5
	189	Marcin Bałczewski, Ucieczka z i w świat obrazu (Paul Pope, <i>Wielki Escapo</i>)
	190	Marcin Bałczewski, Ten świat jest tylko niewytłumaczalnym snem (Igor Baranko, <i>Dzihał</i>)
muzyka	193	Czujemy, że znów latamy. O bezpłodności twórczej, półwiecznych chłopcach i imprezach techno. Z siostrami Kępisty rozmawia Beata Zuzanna Borawska
	198	Rafał Wawrzyńczyk, Opera na koniec epoki. Relacja z Warszawskiej Jesieni, 16-25 września 2016
	202	Adam Mańkowski, Ciche arcydzieło (Nick Cave and the Bad Seeds, <i>Skeleton Tree</i>)
stałe felietony	204	„poniewczasie” – Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Komoniewski Stanisław, Kraushar Aleksander
	206	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Złoty wawrzyn pozostanie złoty
	210	„esoesy” – ADL, Siódme
	212	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, O zabawach z dzieciństwa, podróżach, śmierci i innych sprawach najważniejszych. Tamto Janiny Osewskiej
	214	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Czytelnicze labirynty (3)



Mohamed Amine Hamouda, artysta na tle swojej pracy, 2016 r.

Mohamed Amine Hamouda (ur. w 1981 r. w Gabes, Tunezja) – artysta, malarz, scenograf, „estetyki sztuk technicznych”, nauczyciel akademicki w Wyższym Instytucie Sztuk i Rzemiosła w Gabes oraz w Wyższym Instytucie Sztuk i Rzemiosła w Tataouine. Od 2005 roku regularnie wystawia swoje prace w Tunezji, za granicą oraz tworzy dekoracje teatralne. Ostatnia wystawa pt. *Transcendence* (2016), przedstawiała nowe metody łączenia naturalnych pigmentów i papieru czerpanego, z klasyczną arabską kaligrafią, włączając w to kody, znaki i kształty związane z filozofią sufizmu.

Marta Zelwan

* * *

małe drzwiczki do lata
zrobione są z bardzo starego drewna
o żelaznych skoblach
nisko, za nimi, ukryta jest magicznie
usypana księga
której autor obiecuje, że każdy
kto ją rozsypie
zobaczy swoje życie w jednym ziarnku piasku
wraz z popiołami depresji w czarnym swetrze –
otwieram małe drzwiczki
a tam niedobrze, nawet całkiem źle
tam lato przed zmierzchem
i ptaki, na znak czasu, próbują odlatywać –
gdy wchodzę
drzwiczki wchodzą za mną
i zamykają się od środka
ptaki, drzewa, strony, ryciny
chowają się do księgi
i stają się martwymi naturami
piach pod nogami jest ziemią niemą
i po cichu się osuwa

Marta Zelwan (dawniej Krystyna Sakowicz) – pisarka. Mieszka w Warszawie. Laureatka Nagrody Wydawnictwa „Iskry” (1984), Funduszu Literatury (1986), Nagrody Literackiej im. Stanisława Piętaka (1988), Nagrody im. Edwarda Stachury oraz Nagrody Fundacji Kultury za *Księgę ocalonych snów* (2008). W roku 2001 była nominowana do Nagrody Literackiej NIKE za *Śnienie*, a w 2009 za *Księgę ocalonych snów*. Jako Krystyna Sakowicz wydała książki: *Zbrodnie kobiet* (1984), *Sceny miłosne, sceny miłosne* (1986), *Jaśmiornica* (1987), *Po bólu* (1995), *Śnienie* (2000), *Księga ocalonych snów* (2008) i *Praobrazy* (2012).

Daniel Kasprowicz

Rubiny, duchy przodków i czerwony lateryt Madagaskaru

Jak zostaje się misjonarzem i to na dodatek misjonarzem świeckim? Odpowiedź może wydać się banalna, ale nigdy nie szukałem misyjności. Tym bardziej nie szukałem Madagaskaru, nie oczekiwałem lekcji miłości i nie podejrzewałem, że będę pracował z niedożywionymi dziećmi gdzieś na końcu świata. Kiedyś marzyłem, by być znanym dietetykiem, podobnie jak rewolucjonista żywieniowy prof. Thomas Colin Cambell czy szkocka dietetyczka Gillian McKieth, której sława objęła cały świat. Chciałem być specjalistą, który odziany w biały fartuch będzie prowadził otyle tłumy ścieżką zdrowia. Sam kiedyś walczyłem z tym problemem, a jako pulchny licealista wyciskałem siódme poty na coraz to dłuższych rowerowych dystansach i katorżniczych dietach. Podczas studiów wyjechałem na miesięczny wolontariat na Madagaskar. Kolejnego roku przeprowadziłem badania oceny stanu odżywienia plemienia Tsimihety, by wreszcie zakochać się na dobre w tej ludności i powrócić do malgaskiego Mampikony już na dłużej. Kto by pomyślał, że aż do teraz.

Madagaskaru nie można ubrać w słowa. Nie można go ani opisać, ani też dobrze zrozumieć. Mieszkańcy Madagaskaru są niezwykle ludźmi, z wachlarzem tych samych cech charakteru, osobowości, a nawet i problemów, co my, mieszkańcy Europy. Niemniej wszystko to, poprzepłatane tropikalnymi chorobami, niewyobrażalnym ubóstwem i niedożywieniem, brakiem wzorców w społeczeństwie czy sytuacjami tak ekstremalnymi, że aż absurdalnymi, nie daje szans na pełne zrozumienie tych ludzi i całkowitego pocucia, czym Madagaskar jest bądź czym nie jest. O Czerwonej Wyspie czytałem w wielu książkach i artykułach, ale w każdym przekazie podejmowano próby zbadania owego fenomenu za pomocą wybranych metod eksperymentalnych bądź oka dziennikarza lub podróżnika. Wielokrotnie krzywdzono Malgaszów, osądzając ich bądź wykorzystując. W życiu otrzymaliśmy wiele szans, z których korzystaliśmy. Darmowa edukacja, dostępność do pożywienia, miłość ze strony rodziny czy przyjaciół. Z czasem dostawaliśmy lub braliśmy więcej i więcej: pierwsze rowery, telefony, komputery, samochody i znów telefony. Szybko też zbombardowano nas bodźcami multimedialnymi: telewizja, Internet, książki i gazety... choć na coraz bardziej niedorzecznej płaszczyźnie pustki. Nie, nie jesteśmy zatem w stanie zrozumieć zachowania Malgaszów, a każda krytyka i wmawianie sobie, że jesteśmy mocarzami świata, zdolnymi do wejścia z butami w ich życie i poukładania go na nowo, może jedynie świadczyć o naszej niewiedzy czy też arogancji. Przez pierwsze miesiące czekałem, by być zaproszonym do owego domu. Witalem się, rozmawiałem, pogłębiałem znajomość, przyjaźniłem się i wreszcie, zdejmując swe europejskie buty, zasiadałem na macie z rawinalii i znów słuchałem. Warto, by te wysłuchane historie ujrzały światło dzienne, bo być może będą najlepszą lekcją przez jaką w życiu przejdiesz. Tematem tejże lekcji jest: Jak Madagaskar nauczył mnie kochać?

Magia kontra medycyna

Malgasze wierzą w *tromba*¹ i duchy przodków. *Zanahary*² to tylko bóg stworzyciel, który ze zlepków wybudował świat. Prawdziwie potężny staje się dopiero człowiek, który po śmierci zyskuje pełnię bóstwa. On dyktuje rytm dnia swej rodziny i obdarza ją świętym-przeklętym *fady*, tj. zasadą życia. Tyle *fady*, ilu zmarłych, tyle nieszczęść, ile wiary w te zasady. Jeśli duchy przodków nie godzą się, by dzieci rodziły się we wtorki, należy dziecko zabić bądź wystawić na próbę. Jeśli duchy przodków zakazują spożywania *voanjo bory*³, należy to poszanować, choćby człowiek umierał z głodu, a dzieci popadały w kacheksję. Któż podejmie ryzyko bycia trędowatym, gdyż taka jest cena za złamanie żądań zmarłych. Odmienne zdania mają duchy przodków w przypadku bliźniaków. Jedni wierzą, że to przekleństwo, a kobieta skradła płodność innej kobiecie. Inni, że to błogosławieństwo, dar od zmarłego dziesiątki lat temu dziadka. Albinos to nic innego, jak diabeł, który zakradł się między uprawiających miłość Malgaszów. Jakże intrygującą zagadką była para albinosów, bliźniaków z Ambatozato, wioski nieopodal Mampikony.

Blżej duchów przodków są *tromby*, czyli czarownice i wiedźmini. Rzadko w towarzystwie podejmuje się temat magii. Już samo mówienie o niej jest dla Malgaszów przerażające. Kiedyś półgłosem, o czwartej nad ranem opowiedziano mi historię o żyjącym w lesie plemieniu Sihanaka. Lud o tyle dziwny, że rzadko opuszcza swoje terytorium. Stąd obce są im samochody, technologia i biały człowiek. Są bardzo brutalni i niezwykle silni. – „Są potężni, gdyż codziennie jedzą mięso” – mówił z zaparciem Lionard. – „Nie byłoby dnia, kiedy nie jedliby mięsa. Napadają na wioskę i grabią. Tak też podpalili pół wioski, w której mieszkali Lucien i Leolide. Prowadzą ich męskie wiedźmy” – kontynuował. Opisał ich dokładnie: wymalowane na białą twarz, amulety na palcach i bicepsach, przymocowana do pleców maczeta. Czarownice i czarownicy najczęściej decydują o planach podbojowych, gdzie, o której i jak zaatakować. Przewidują przyszłość, gdzie akurat nie ma straży, mundurowych, gdzie najbardziej opłaca się napaść. Zwykle jednak malgaskie czarownice są bardziej przyjazne. Być może miastowe *tromby* popadły nieco w niesławę i zajmują się tylko leczeniem mieszkańców. Znają doskonałe *fanafody gasy*, tj. malgaskie lekarstwa. Guzik na sznurku przewieszony na szyi dziecka skutecznie ochroni je przed chorobami bądź klątwami innej wiedźmy, a garść soli złożonej w ofierze duchom przodków na charakterystycznym ołtarzyku jest w stanie wyrwać z ramion śmierci nawet najbardziej obłożnie chorego.

Ołtarzyki animistów plemienia Tsimihety są dość specyficzne. Cztery wielkie płaskie kamienie ułożone na kształt krzesła, z białą chustą przeplatającą oparcie i wbity tuż obok pal z głową *zebu*⁴. Tyle głów, ilu zmarłych przodków, którym poświęcono to miejsce. I *tromby* mają swoje miejsca sakralne. – „To ołtarz czarownic” – tłumaczy Dole, wskazując na rozrzucone kamienie wokół potężnego mangowca, którego pień przewiązano czerwonym prześcieradłem. – „Tutaj przychodzą modlić się wiedźmy” – niechętnie dokończył, odwracając pośpiesznie głowę. Wielokrotnie słyszałem o spektakularnych modłach, podczas których kończyny czarownic wyginały się w nienaturalnych kierunkach, kiedy przemawiały obcymi głosami i językami, pluły gwoźdźmi i krzyczały wniebogłosy. Dopytuję się, czy ma to coś wspólnego z *grigry*, przeklętymi akcesoriami. – „Nie, nie, nie. Grigry są silniejsze,

¹ Z malg. czarownica.

² Z malg. stworzyciel, jedno z określeń boga. Na równi stoi także określenie *Andriamanitra*, czyli „Pa-chnący Książę”, które częściej wykorzystywane jest w wierzeniach chrześcijańskich.

³ Rodzaj rośliny strączkowej, niezwykle odżywczej i smacznej.

⁴ Garbata krowa należąca do bydła domowego pochodzącego z Azji Południowej, łac. *Bos indicus*.

mają większą moc, mogą nawet zabić. *Tromba* czasem robi dobre rzeczy” – objaśnia Malgasz. – „Słyszycie? Czarownice odpowiadają chyba swoje obrządki”. Z jednej lepianki dobiegały dźwięki bębnow i śpiewy kobiet. Tuż przed domem kobieta ubrana na czerwono smarowała twarz niemowlęcia białą maseczką. Czarownice i czarownicy zaprosili nas do wspólnego świętowania. Spacerowałem wówczas po okolicy z młodzieżą. Przyjechaliśmy do wioski w ramach dodatkowych zajęć i rekolekcji. Przestraszona grupa malgaskich nastolatków niechętnie wstąpiła za mną. Białe budziło niecodzienne zamieszanie i zdziwienie w tak ważny dzień, jak inicjacja nowej czarownicy, poświęcenie niemowlęcia *tromba*. Zasiadłem i rozglądałem się dookoła. Stare twarze, jakby pobudzone narkotykami, ciekawie przyglądały się przybyšom. Żartowałem i zagadywałem. Dopytałem o różnice w ołtarzach z białą i czerwoną chustą. Malgaszki w długich warkoczach, charakterystycznych dla czarownic, chętnie wyjaśniły *fomba gasy*, czyli malgaskie tradycje. Równie chętnie pozowały do zdjęć. Spoglądałem okiem na ołtarzyk wypełniony muszlami, *grigry*, bransoletkami z różnobarwnymi koralikami, starymi monetami zanurzonymi w wodzie z białym kamieniem. – „Wpuściły Cię tylko dlatego, że nie wiedziały, że jesteś katolikiem. Czarownice nie znoszą chrześcijan. Bałem się, że wspomnisz o tym i wyrzucą nas z hukiem z wioski, ba!, być może nawet rzucą kłutwę” – mówił Aime, zjadając w stresie ryżowe bułki. Leolide po historii z wiedźmami dopowiedział kilka słów: – „Moja najstarsza kuzynka jest wiedźmą. Niechętnie przebywa w moim towarzystwie, bo jestem katolikiem. Nie patrzy mi nawet w oczy. Czarownice boją się Jezusa. Uważaj, bo będziesz miał dziś koszmary”.

To działo się na początku mojej posługi tym ubogim ludziom. Przyjechałem do Mampikony jako świeżo upieczony absolwent Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Jako dietetyk kliniczny chciałem leczyć niedożywione dzieci, zmagać się z tą pozbawioną szans rzeczywistością i pomóc plemieniu Tsimihety w granicach moich możliwości. Magia duchów przodków zdecydowanie utrudniała pracę od pierwszych dni. W pierwszej kolejności zająłem się stołówką prowadzoną przez misję katolicką. Szereg *fady*, personalnych, rodzinnych i plemiennych, utrudniało dobranie jakiegokolwiek jadłospisu. Zastraszona przez rodziców część dzieci nie jadła fasoli, obawiając się śmierci członków rodziny. Inna grupa nie tykała wieprzowiny, gdyż wierzono, że duchy przodków zamieszkują ciała tych zwierząt. Rzeczne krewetki i *vary lava*, czyli suszone drobne rybki, będące doskonałym źródłem białka, wapnia, jodu i cynku, były na liście przeklętych produktów spożywczych. Sytuacja powtarzała się również na polu usług medycznych. Rozpalone malarią dzieci w pierwszej kolejności trafiały do czarownic, które serwując szereg nieskutecznych ziół, doprowadzały do jeszcze gorszych powikłań. Każda choroba była karą zsyłaną przez zmarłych, którzy złościли się za nieszanowanie tamtejszych zasad. Nikt nie brał pod uwagę nieprzestrzegania zasad higieny czy brak moskitier. Dodatkowo wszystko utrudniała bariera językowa. Mimo iż językiem urzędowym jest język francuski, znaczna część społeczeństwa nie włada nim nawet na poziomie komunikatywnym. Każde plemię ma swój dialekt, mniej lub bardziej odbiegający od oficjalnego języka malgaskiego. Byłem załamany, przerażony i bezsilny. Czyżby i mnie miała dopaść *fahaterezana ny razana*⁵?

Edukacja to prawdopodobnie najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek stworzył człowiek. To remedium na wszelkie dolegliwości. To rozwiązanie wszystkich problemów. To wreszcie deska ratunku, której trzymałem się niezwykle kurczowo. Podczas codziennych zakupów edukowałem personel pracujący w naszej kantynie.

⁵ Z malg. gniew duchów przodków.

Misjonarze zorganizowali uświadamiające warsztaty dla rodziców, podczas których podjęto tematy plemiennych zakazów, które – co ciekawe – nie powinny sięgać dalej niż rodzinne podwórko. Co więcej, zwrócono szczególną uwagę na *fahasalamana* i *fanadiovana*, tj. szeroko pojęte zdrowie i higienę osobistą. Sam też podjąłem staż w lokalnej klinice św. Grzegorza, w gabinecie doktora Tsarahity. Był to najlepszy sposób, by poznać malgaską służbę zdrowia i kulejące zdrowie publiczne, chorujące bardziej od *kolikoły* i *volagasy*⁶, niżli *plasmodium falciparum*⁷ czy *salmonella typhi*⁸.

Madagaskar to wielki eksperyment. Studia medyczne można ukończyć tylko wtedy, kiedy zaspokoi się przekupnych profesorów wystarczająco wysoką kwotą. Nie dziwi więc fakt, że tylko najzamożniejszych stać na opłacanie zachcianek kadry uniwersyteckiej. Za oczywisty błąd lekarski nikt nie ponosi odpowiedzialności. Dokumenty najczęściej znikają z zakurzonych półek i sprawa jest bezpowrotnie zapomniana. Lekarz też nigdy nie przyzna się do tego, że nie ma absolutnie błędnego pojęcia na temat danego schorzenia. Byłaby to czysta *afabaraka*, coś niezmiernie wstydliwego. Przyglądałem się temu wszystkiemu z boku, nierzadko roniąc łzy, gdy pozostawałem sam na sam ze swoimi myślami.



Dziewczynka, 8 lat, wpadła w rozżarzony węgiel i poparzyła pół swojego małego ciała. Matka tuliła do piersi dziewczynkę, której oczy pozbawione były łez, a wypełnione przerażeniem. Powtarzała jedno niezrozumiałe dla mnie słowo, które układało się w swoistą kołysankę. Zmartwiona rodzina, po zakończeniu oczyszczania i dezynfekcji ran, przykryła pacjentkę kolorową chustą.

Dziewczyna, blisko 18 lat, wielki ropień na udzie powodował wielki ból, przez co lekarz musiał przeciąć chore miejsce, usunąć ropę i wypełnić ją domowej roboty sączkiem. Następnego dnia, bez znieczulenia, powoli wyjmował spod skóry zakrwawiony bandaż. Malgaszka patrzyła z grymasem na twarzy. W dłoni ścisnęła mocno *lambe*⁹, jakby cały ból chciała przenieść na ten skrawek materiału.

Mężczyzna w podeszłym wieku, u którego problemy z oddychaniem prawdopodobnie spowodowały zanik mięśni oddechowych. Niedożywienie takiego stopnia oglądałem tylko w podręcznikach, które ukazywały ofiary obozów koncentracyjnych. Kości powleczone skórą, uwypuklone stawy kolanowe, zanik mięśni twarzy, brak zębów. Następnego dnia przy pomocy lekarza przygotowywałem koktajl witamin podawany w kroplówce, którą podłączałem do wychudzonej do granic możliwości ręki.

Dalej kobieta, około 20 lat, leżała w niewielkim pokoiku z wcześniakiem. Jak tłumaczył lekarz, malaria wywołała przedwczesny poród. Z dwójki dzieci przeżyło tylko jedno, które otulone kocem, bez inkubatora, leżało na macie z rawinalii. Choć matka patrzyła ze smutkiem w sufit. Na bok przewróciła się tylko do zastrzyku z chininy.

***Afabaraka* – sposób na zniszczenie życia**

Aldo odwiedzał mnie wiele razy. Chłopak pochodzi z wioski Antsakoamaro, którą odwiedziłem już dwukrotnie. Trzeba przedostać się przez dwie rzeki i piaszczyste

⁶ Z malg. łapówki i malgaskie pieniądze.

⁷ Jeden z czterech gatunków chorobotwórczych pasożytów krwi wywołujących malarię, przenoszony naturalnie przez komary rodzaju *Anopheles*.

⁸ Chorobotwórcze bakterie wywołujące dur brzuszny (dawniej tyfus), chorobę zakaźną przenoszoną drogą fekalno-oralną.

⁹ Z malg. chusta.



„Takiej serdeczności nie spotkałem dotychczas w żadnym supermarkecie”.



„...tylko duchy przodków unoszą się nad pustkowiami nieopodal Mampikony”.



„Volarajo, samozwańcza położna z doświadczeniem tak długim, jak całe jej życie”.



„Tyle głów, ilu zmarłych przodków, którym poświęcono to miejsce”.



„Kiedyś przestanie być dziewczyną czekającą na ryż”...

ścieżki, by zagościć w malowniczej miejscowości u podnóży drzew – Sakoana. Jest tam szczególnie zimno i aż trudno uwierzyć, że mieszkańcy wieczorami opatulają się chustami i bluzami z drugiej ręki. Pierwszy raz udaliśmy się tam z młodzieżą z Domu Dziecka, by wspólnie celebrować Eucharystię. Następnie podawałem lekarstwa na bilharcję szkolnej młodzieży. Poznałem tam Volarojo, samozwańczą położną z doświadczeniem tak długim, jak całe jej życie. Nazywana jest matką wioski, gdyż przyjęła na świat wszystkie dzieci z Antsakoamaro. Pamiętam doskonale moment, kiedy korzystając z gościnności dyrektora tamtejszego gimnazjum, brałem prysznic w towarzystwie... pięciu świń. Prysznic był bowiem połączony z zagrodą trzody chlewnej, oddzielonej zaledwie półmetrowym drewnianym płotkiem. Mogłem też swobodnie rozmawiać z przechodniami, gdyż wysokość konstrukcji sięgała mi do szyi. Wówczas przy jego domu odbywała się projekcja filmu na małym telewizorze starej daty i przez niewielkie dziury w prysznicowej płachcie mogłem bacznie śledzić losy bohaterów.

Poznałem wtedy Aldo, który jeszcze nie był uczniem szkoły w Mampikony. Była to raczej znajomość z grzeczności. Volarojo, babcia chłopaka, przedstawiała członków swojej rodziny, chwając raz po raz swoje wnuki. Aldo bez problemu dostał się do liceum, podobnie jak jego siostra. Spokojni, pracowici, niezwykle dobrze wychowani i obcy. Aldo to typ osoby, która nie wyróżnia się ekspresyjnym zachowaniem, ale pociąga życiowym doświadczeniem. Jest autsajderem, trochę książkowym bohaterem, którego wyobrażamy sobie bardzo dobrze i myślimy „co by było, gdyby został moim przyjacielem”. Od zeszłorocznych wakacji stan jego zdrowia bardzo się pogorszył. Co rusz odwiedzał lekarzy, szukając remedium na swoje dolegliwości – ból brzucha i głowy, tymczasowe gorączki, problemy z mikcją, męczący kaszel. W pierwszej kolejności leczono chłopaka na dur brzuszny, serwując siedmiodniową kurację cefraksonem i gentamycyną. Postawiona diagnoza była raczej przypuszczeniem, którego dokonał jeden z lekarzy. Za tę przyjemność rodzina zapłaciła 50 000 ariary, tj. jakieś 60 złotych, czyli koszt dwutygodniowego utrzymania wielodzietnej rodziny. Choroba ustała na zaledwie kilkanaście dni, po czym wróciła z impetem, kładąc chłopaka do szpitalnego łóżka. Tam kolejny lekarz zdiagnozował zapalenie wyrostka robaczkowego i bezdyskusyjnie nakazał poddać się operacji. Średniej jakości sprzęt do USG i być może nieco przemęczone oko doktora nie brało od uwagi żadnej innej opcji. Chłopak przeleżał jeszcze 7 dni – znalezienie 500 000 ariary oraz pokrycie kosztów badania (w sumie około 780 złotych) wywróciło życie rodziny Alda do góry nogami. Połowę tej kwoty pokryła misja, resztę wyłożyła Volarojo¹⁰. Mimo rzekomego silnego zapalenia wyrostka robaczkowego, Malgasz przeleżał te dni w oczekiwaniu, mając od czasu do czasu naprzemienne nawroty zdrowia i choroby. Po operacji czekała go jeszcze długa antybiotykoterapia. Schudł niemiłosiernie. Od zeszłego grudnia regularnie odwiedzał misję, skarżąc się na coraz to nowsze dolegliwości. Zdarzało się, że miał zaniki pamięci. Duszności nawracały i męczyły szczególnie w nocy. Ból brzucha pozostał niezmienny. Lekarze przepisywali coraz to droższe lekarstwa, z rekordzistą na samym końcu, który zalecił medykamenty warte milion ariarów (1300 złotych). Zdecydowałem się nie ciągnąć tej absurdalnej gonitwy lekarzy, a udać się do jedyne go medyka, któremu ufałem bezgranicznie – doktor Candide, fenomenalnej lekarki z Kliniki św. Bardelli w mieście Mahajanga, u której miałem przyjemność odbywać staż laboratoryjny.

Podczas tej dwudniowej wyprawy przeprowadziłem szereg inspirujących rozmów z Aldo. O jego życiu i marzeniach, o podejściu do miłości i problemów mał-

¹⁰ Imię babci oznacza tyle, co „zardzewiały pieniądz”.

gaskiej młodzieży. Kiedy chłopak przyszedł na świat, jego ojciec pozostawił matkę z dwójką małych dzieci. Udał się do wioski nieopodal, gdzie założył nową rodzinę. Przez pierwsze lata Volarojo pomagała swojej córce wychować dzieci. Jak grzecznie i ciepło ujął to Malgasz: – „Babcia kupowała dla nas ubrania. Babcia zajmowała się nami, kiedy mama pracowała na ryżowisku. Babcia przyjęła nas na świat”. Ja dodałem: – „Myślę, że ona kocha Was bardzo mocno”. Kiedy podrośli, matka opuściła Antsakoamaro i wraz z nowym mężem rozpoczęła inne życie, oddalając się od dzieci o 40 kilometrów. Aldo i Alda zamieszkali z babcią, która poświęciła się im bez reszty. Chłopak wspominał, że mimo tylu lat, w sercu kobiety pozostał ogromny „zardzewiały” żal do ich ojca, dla którego los własnych dzieci stał się obojętny. – „Ja szukam tej jedynej, którą pokocham raz na zawsze. I kiedy spojrzę na nią, będę wiedział, że to właśnie miłość” – zwierzał się, oczekując wyników badań.

Doktor Candide nieśpiesznie zbadała chłopaka. Przeprowadziła wnikliwy wywiad i prowokowała do zwierzenia się ze wszystkich chorobowych problemów. A on opowiadał z wszelkimi szczegółami, czując się niezwykle dobrze w obliczu słuchającego lekarza. Kobieta poddała w wątpliwość zarówno teorię o tyfusie, jak i wyrostku robaczkowym. – „Dur brzuszny jest ostatnio bardzo modny wśród lekarzy” – dodała, przyglądając się negatywnym wynikom na obecność przeciwciał. – „Ale tak naprawdę występuje rzadko” – zakończyła, chwytając kolejne wyniki badań krwi. Serologia bilharcjozy otworzyła jej oczy szeroko. Podwyższony poziom eozynofilii komponował się w tej mieszance imponująco. W ponad trzystukrotnym rozcieńczeniu surowicy nadal wykrywalne były przeciwciała pasożyta. Organizm wręcz przepełniony był schistosomatozą, która w ciele chłopaka czuła się niezwykle dobrze. – „Masz tę chorobę już od bardzo dawna. Podejrzewam, że ona wywoływała wiele dolegliwości. Zastanawiam się też, czy na pewno konieczna była operacja wycięcia wyrostka robaczkowego. Przy takiej bilharcjozie wszystko jest możliwe” – dodała, zapisując lekarstwa, uprzednio dokładnie przeliczając dawki. Po badaniu okazało się, że chłopak cierpi również na niewielką niewydolność serca, potwierdzoną późniejszymi badaniami. Po wizycie byłem nieco skołowany. Czułem jak krew rozgrzewa do czerwoności moje policzki i nie wiedziałem, czy towarzyszące mi emocje to wynik postawionej diagnozy, czy też złość wynikająca z dotychczasowego nieudolnego leczenia Aldo przez ostatnie pół roku. Jakże zabójcza może być *afabaraka* tutejszej służby zdrowia. Już dziesiątki pomarły w gabinetach medyków, dla których przyznanie się do niewiedzy to krok niemożliwy do przejścia. Tak też zmarły dzieci, którymi opiekowałem się w kantynie.

Swego czasu *Maman*¹¹ i *Lucy* zachorowała na malarię. Odczytując gryzmoły lekarza, podawałem zastrzyk z chininą. Kobieta, nieco zamroczona, wróciła po raz kolejny kilka dni później. Pobił ją mąż, zapewne pijany. Z napuchniętym okiem i wielkim na całą brew plastrem robiłem nowe zastrzyki: ampicylina i gentamycyna dożylnie, diklofenak domięśniowo. Nie patrzyła na wbijaną w żyłę igłę, tylko lekko stęknęła i oparła głowę o fotel. Z włosów uplotła dwa warkoczki, które następnie zwinęła i przekształciła na wzór wystających z głowy rogów. Obok siedziała jej córka, Lucy. Niewyobrażalnie trudna historia nastoletniej dziewczyny, która zapewne jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tragedii, która ją dotknęła. Zaledwie cztery lata temu była dzieckiem biorącym udział w programie „Adopcja na odległość”. Jej własna rodzina, będąca w trudnej sytuacji finansowej, wywarła na niej ogromną presję. Zerwała ze szkołą na rzecz pracy. Kilka miesięcy później jej praca zmieniła diametralnie charakter, a wieść o prostytutuującej się dziewczynie rozeszła się dość

¹¹ Z malg. mama Lucy. Po urodzeniu pierwszego dziecka malgaska kobieta porzuca swoje dotychczasowe imię i nazywana jest od tego czasu mamą owego dziecka.

szybko. Niestety skorzystała również z usług *naman'i tanora*¹², który uczynił ją bezpłodną. Amerykańska Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego nawiązała współpracę z lokalnymi lekarzami, którzy serwowali zabiegi podwiązki jajników kobietom i podcinania nasieniowodów mężczyznom. Za każdego klienta Ameryka płaciła lekarzowi pięć tysięcy ariarów (około 6 złotych). Początkowo program obejmował kobiety po 30 roku życia. Niemniej chciwość lekarzy i źle prowadzona dokumentacja medyczna doprowadziła do włączenia do akcji coraz to młodsze kobiety, z rekordzistką mającą zaledwie 15 lat. Z zabiegów korzystały przede wszystkim młode prostytutki, które „otrzymały szansę na bezproblemowe wykonywanie pracy”. Podobny horror działał się i nadal dzieje ze spiralami, których opłacanie polega dokładnie na tej samej zasadzie. Niestety nikt nie przewidział, że spiralę kiedyś trzeba wyciągnąć, a ludy malgaskie są nadal na wpół koczownicze. Dziesiątki malgaskich kobiet umarły w straszliwych katorgach, kiedy to wprowadzony element zaczął ropieć i doprowadzać do infekcji. Do wiosek, które oddalone są o kilkadziesiąt kilometrów od cywilizacji, które są nieprzejezdne, ba!, w porze deszczowej całkowicie odcięte od świata, żadna organizacja jeszcze nie dotarła.

W ciągu tych lat Lucy sporadycznie pojawiała się na misji z rodzeństwem, prosząc o ryż, lekarstwa, snując plany o nowej szkole, a być może i zmianie życia na lepsze. Kiedy powoli dociskałem strzykawkę z lekarstwem i bezwiednie spoglądałem na dziewczynę, zdałem sobie sprawę, że niektórych rzeczy nie da się cofnąć. Lucy nieco głupkowato, jak dziecko, odczytywała zdania z francuskojęzycznej gazety. Zatracona przeszłość i niewiadoma przyszłość tej Malgaszki wymuszały we mnie myśli niedające spokoju. Jakimże szczęściem przepełnione było dotychczas moje życie! Jak piękne i beztroskie miałem dzieciństwo, spędzone na grze w kwadrat z rówieśnikami z sąsiedztwa! Nawet największe problemy przeżywane w okresie dorastania były niczym wobec maluczkich problemów tutejszej młodzieży. Przyjdzie jednak taki dzień, kiedy dziewczyna otworzy szeroko oczy i wszystko stanie się jasne i trudne. Kiedyś przestanie być dziewczyną czekającą na ryż, a stanie się kobietą niemogącą założyć rodziny. I nie będą odgrywały roli już malgaskie *fady*, *fomby* i *tromby*. Każdy prędzej czy później otwiera oczy.

Kilasymandry

Kilasymandry oznacza tyle, co śpiąca klasa. Jest to określenie internatu dla uczniów, połączenie miejsca do nauki i snu. Kiedy życie zaczęło mi się walić, a malgaska rzeczywistość przytłaczać niemiłosiernie, naprzeciw wszystkiemu wyszła grupa młodzieży. Aż sam nie mogę uwierzyć, jak solidną otrzymałem lekcję miłości.



Pokój Aime właśnie rozświecwały płomyki dwóch świec. Jedna, już na widocznym wykończeniu, została przyklejona do puszki po słodkim mleku skondensowanym, wypełnionym po brzegi stężalym dawno woskiem. Otwarte okno nie dawało żadnego przewiewu, a świeczki jakby bardziej potęgowały duchotę pomieszczenia. Leolide zasnął kilkanaście minut temu. Nie przeszkadzała mu donośna muzyka i zabawa, która właśnie toczyła się nieopodal ich domu. Na kościelnym placu trwał od trzech dni *Kermesse*, to jest festyn zorganizowany przez uczniów Liceum im. Ojca Libermana. Pełne śpiewów i tańca spektakle, budki ze słodyczami z indyjskimi etykietami i stoiska, na których za 100 bądź 200 ariarów można choć na chwilę zapomnieć o całym świecie, bawić się jak dziecko na ręcznej karuzeli bądź rzucać piłką

¹² Z malg. przyjaciel młodzieży.

w opone, by wygrać znacznie droższy prezent. Dosiadł się do nas Lionard. Zaczęła się właśnie jedna z tych rozmów, które lubię najbardziej. Kiedy tak naprawdę czas nie ma znaczenia, a wszystkie słowa płyną niezwykle swobodnie. Przewinęło się wiele tematów: od podsumowania tygodnia do planów na najbliższe dni i lata. Aime, niewysoki, aczkolwiek barczysty Malgasz, wyciągnął spod poduszki kilka kamieni i małą butelkę po słodkim napoju. Musiała być ona dość stara lub brudna, bo poprzez wytarty plastik, choćby człowiek wysiłał się z całych sił, nic nie było widać. – „To są rubiny. W Akomajia jest ich mnóstwo” – zaczął. – „Chińczycy bardzo je lubią. Kupują je w kilogramach za niewielkie pieniądze. A Malgasze sprzedają je tanio, bo najczęściej nie mają co jeść i każda suma, nawet ta najmniejsza, jest kusząca. O, takie lubią najbardziej” – pokazał niewielki kamień z naturalnymi wyżłobieniami, układającymi się w kwiaty. – „A takie skupują za grosze” – trzymał w ręce popękany jasnoczerwony kamień. Rubinów poszukuje się głęboko pod ziemią. Kopie się tunel o szerokości ludzkiego ciała i posuwa metr za metrem w dół, po skosie, poszukując „malgaskiego złota”. Malgasz musi być gotowy na kilkunastogodzinne przebywanie kilka metrów pod ziemią. Nierzadko tunele zapadają się, a wraz z nimi zapada się życie starych i młodych poszukiwaczy. Szczęście miał Ravelonkaja, który przed zamieszkaniem w Kilasymandry, kopał długie tunele w poszukiwaniu kamienia, czerwonego jak malgaska ziemia. Do dziś przechowuje pod łóżkiem co ładniejsze *vato tsara*¹³, których żał było oddać Chińczykom: kryształ, rubiny i skałki oblepione tysiącem małych diamentów.

Tak rozmawiam każdego dnia. Wędruję przez historie tejże młodzieży, odkrywając Madagaskar z tej innej, ludzkiej strony. Od czasu do czasu odwiedzam wioski, by rozdać lekarstwa bądź poznać rodzinne strony chłopaków. Wędrujemy pieszo nierzadko kilkadziesiąt kilometrów, by przez kilka dni pobyc w towarzystwie radujących się Malgaszów, by dzielić z nimi ściany lepierek, by jeść pachnący ryż z jednego talerza. I choć podróże te bogacą w nieopisany sposób, być może są pociągające dla szukających wrażeń globtroterów, to osobiście uwielbiam pochyłać się nad spacerami w innym czasie i innej przestrzeni. Podróże przez serca tychże młodzieńców są lekcją miłości, zrozumienia i cierpliwości. Uczą patrzeć malgaskimi oczyma.



Victorien i Sanien trafili do domu dziecka jako najmłodsi. Mieli kolejno 9 i 11 lat. Ich matka zmarła przy porodzie najmłodszego z nich, a ojciec po tygodniowej walce z malarią. Nie stać było go na zastrzyk ratujący życie, kosztujący zaledwie 75 groszy. Przez dwa tygodnie rodzeństwo pozostało w pustej chatce, bez opieki, skazane na nędzę przez niedbające o dzieci państwo malgaskie. Byli przestraszeni i zapłakani. Jeden z nich – w podartej koronkowej dziewczęcej koszulce, drugi wychudzony i zaniedbany. Tinasoa, przystojny piętnastolatek, sierota, uciekł z nędznej lepiarki przed nadużywającym alkohol i narkotyki bratem. Wychowująca go po śmierci rodziców babcia zmarła kilka miesięcy temu. Nie miał kompletnie nikogo, prócz uroczej, kochanej młodszej siostry i przegrywającego z problemami brata. Trafił do nas, a siostra do pobliskiego internatu dla dziewcząt. Jean Felixem opiekowała się chorująca ciotka, po tym jak rodzona matka odrzuciła go zgodnie z wolą duchów przodków. Urodził się we wtorek, wystarczyło tylko tyle. Niedołężna kobieta prosiła o pomoc, jeszcze tego samego dnia stał się członkiem naszej wspólnoty. Lucien, Leolide, Regis i Ernel, przyjaciele z miasta Ankiripika, nie widzieli

¹³ Z malg. ładne kamienie. W języku malgaskim określa się tym mianem wszelkie kamienie szlachetne.

żadnej nadziei w wiosce spalonej przez plemię Sihanaka. Gdy ogień pochłonął większość dobytku mieszkańców, ojciec Luciena rzekł do syna: – „Idź prosto przed siebie. Gdzieś na tej drodze są misjonarze. Idź, gdyż ja nie jestem w stanie już nic więcej Ci ofiarować”. I chłopak szedł, pozostawiając za sobą rodzinę i przyjaciół, dzieciństwo i marzenia. Pamiętam dzień, kiedy zjawił się na misji – brudny od czerwonego kurzu, pokaleczony, wymęczony, ale z jakże pięknymi, czarnymi jak węgiel oczami. Aime wcześniej wykopywał kamienie szlachetne. Zarabiał parę groszy dziennie, by zjeść zaledwie kilka ryżowych bułek. Przyglądał się też co dzień jak w czeluściach stromych tuneli ginęli jego rówieśnicy. Choć dzierzył w dłoniach nierzadko niewyobrażalne majątki, rodziny nie było stać na posłanie nastolatka do szkoły. Życie Albera zmieniło się diametralnie, gdy miał 6 lat. Wówczas matka postawiła jego i o rok starszego brata, Leonarda u progu drzwi siostr franciszkanek. Miała wrócić zaledwie po chwili, nazajutrz, nie wróciła do dziś. Ojciec został zamordowany przez współbraci z plemienia Sihanaka za złamanie plemiennego prawa, które zakazuje wiązania się z kobietą z innego klanu. Albera od razu rzucił się w oczy. Wielkie usta i nieco wystające zęby, migdałowe oczy i dość szeroki nos komponowały twarz, która przyciągała wzrok. Dodatkowo jąkał się, co dodawało mu uroku. Jego brat był niższy, nieco dojrzalszy, najlepszy w szkole. Jose Pascal uśmiechał się najpiękniej, zwłaszcza wtedy, kiedy mrużył oczy. Wszyscy wiedzieli, że skrycie podkochuje się w Vany. Goutras, Dominique, Flavin i Joslin, każdy w starych, wyblakłych, brudnych ubraniach. Czwórka maluchów nie bez przyczyny znalazła się w domu dziecka. Alkoholizm w rodzinie, prostytutka, wielodzietność, głód, śmierć – tyle i aż tyle. Nieważne jaka była przyczyna pojawienia się ich w tym miejscu, na tej drodze. Niebywale skutecznie łączyli wszystko, co tutaj pokochałem. To dzięki nim i pozostałym zrozumiałem, że nie jestem wolontariuszem na krótko i nie na zawsze, nie jestem też gościem czującym się jak w domu, nie jestem turystą, którego zachwyciła egzotyka, nie jestem tu przejazdem, by wykonać projekt. To dzięki nim jestem tu na długo i na zawsze, jestem faktyczną częścią rodziny. Stałem się również częścią tej egzotyki, bardziej malgaską niż polską. Zakotwiczyłem się tu, by wypełnić wolę, by przeciągnąć palec po mętnej, czerwonej taflি wody.

Każdego dnia, kiedy już tylko duchy przodków unoszą się nad pustkowiami nieopodal Mampikony, kiedy sam księżyc z trudem przedziera się przez ciemność nocy, żegnam się z nimi słowami: – „*Tafandria mandry maha foha vatana. Tia-ko anareo jiaby e! Fitiavana ho ani'ntsika!* (Niech wasze ciało dozna ukojenia. Kocham was wszystkich!)”. Tylko tak mogę podziękować im za tę piękną lekcję miłości, dojrzewania w tych trudnych warunkach. Podziękować za ich niewyobrażalnie piękne uśmiechy.



Pewnego popołudnia udaliśmy się wraz z Leolidem i Lucieniem do miejskiego szpitala, odwiedzić chorą bratanicę jednego z nich. Widok sali wołał o pomstę do nieba. Nieprzytomną czteroletnią dziewczynkę położono na podwyższanym niewielkim łóżeczku, z obiciem wydartym w niektórych miejscach. Rodzina skupiła się wokół niej: pucłowata mama wpatrzona w córkę, starsze rodzeństwo rozproszone po brudnym pokoiku i prawdopodobnie ojciec, w słomianym kapeluszu i wyblakłej żółtej koszuli. Lucien zaraz po przyjeździe trzymał kuzynkę za stopy, jakby chciał w razie niekontrolowanego ataku, powstrzymać ją przed upadkiem. Nieprzytomne dziecko jednak nie drgnęło ani razu. Przy pierwszym i drugim nieudanym wkłuciu kroplówki nie dało żadnego znaku życia. Lekarka w brudnym fartuchu przygotowywała skład żółtej od kompleksu witamin B butelki z 5% roztworem glukozy. Wstrzy-



„...garść soli złożonej w ofierze duchom przodków (...) jest w stanie wyrwać z ramion śmierci nawet najbardziej obłożnie chorego”.



„Kto uśmiechałby się takim uśmiechem i kogo oczy byłyby tak piękne”.



„...podróż nie przez czerwony lateryt i pustkowia, (...) a przez serca tych ludzi”.



„Jak piękne i bez troskie miałem dzieciństwo, spędzone na grze w kwadrat z rówieśnikami z sąsiedztwa!”

kiwała ampicylinę, hydrokortyzon, chininę i witaminę C. Wszystko na niewielkim stoliczku tuż obok, brudnym od krwi i osiadłego już dawno kurzu, który ktoś kiedyś starał się zetrzeć na wpół moką gąbką. Kobiecie jednak ta niesterylność w żadnym stopniu nie przeszkadzała, by odkładać co rusz strzykawkę na przepełniony brudem blat, rozbijać nowe buteleczki i wstrzykiwać ich zawartość do kroplówki. Milczenie było nieco krępujące. Rozglądałem się po sali i zapisywałem obrazy w głowie. Zlew zapchany odchodami szczurów i nietoperzy, z grubą warstwą pyłu. Zwisające na pół metra pajęczyny, oblepione owadami i kurzem. Żółty materac cuchnący moczem. Wielka szafa z zabrudzonymi książkami i kartonami z zawartością pomocy międzynarodowej: suplementy, igły, szczepionki i prezerwatywy, niedziałający już od dawna „tlen”. Milczenie przerwał tylko raz wysoki szczupły lekarz, który zjawił się na kilka chwil. – „Jeszcze jedna ampułka chininy za 6 godzin” – powiedział krótko, po czym wyszedł. Lucien tłumaczył, że dziewczynka ma *kibo maloto*, co dosłownie oznacza „brudny brzuch”. W jej zeszytiku lekarze zapisali lekarstwa na bilharcję i inne pasożyty, dur brzuszny, malarię. Koniec listy leków zwieńczyli: „multiwitamina, jedno opakowanie, 10 mililitrów rano, w południe i na wieczór”. Na stojaku wisiały 3 kroplówki, które po kolei miały być wprowadzone do ciała Małgaski. Nikt jeszcze nie wiedział, że dziewczynka w nocy umrze.

Wczesnym rankiem zapłakany Lucien zjawił się nieco spóźniony na śniadanie. Zbierał się do domu na pogrzeb. Przeszło 120 kilometrów, dwa dni drogi pieszo. A ja nawet nie zapytałem jak dziewczynka miała na imię...

O trzech kobietach

Są tutaj takie trzy starsze kobiety, które odwiedzają misję dość nieregularnie, choć nie ma miesiąca, w którym by się nie pojawiły. Czasem zjawiają się razem, czasem pojedynczo w kolejnych tygodniach. Każda wygląda na tyle charakterystycznie, że nie sposób jej nie zauważyć między codziennymi obowiązkami. Co więcej, każda ma upatrzone miejsce na misji, gdzie siada i czeka, póki ich wzrok nie zbiegnie się ze wzrokiem kogoś z braci bądź moim. Zazwyczaj proszą o to samo: kilka garści ryżu, świeczki, szare mydło, sporadycznie o witaminy bądź leki przeciwbólowe.

Kobieta w kolorowym kapeluszu zawsze pakuje wszystko skrupulatnie do torby wyplecionej z plastikowych tasemek. Jej zestaw ubrań jest niezmienny – brudna i podziurawiona *lamba ho'any* i równie zniszczona koszulka na ramiączkach. Nie ma zębów, więc jej dostojne przemówienia małgaskie w ramach podziękowania nabierają komicznego charakteru. Jako jedyna z trzech zawsze dodaje: – „A może by tak jeszcze dołożyć buteleczkę oleju i nafty?” – po czym uśmiecha się i wyciąga ręce po przygotowane dary. Nie nosi japoniek, więc co roku męczy się z grzybicą, która rani jej stopy, tworząc kilkunastomilimetrowe ubytki między palcami. Namawiam ją na obuwie, gdyż nie widzę innego rozwiązania. – „Przez całe życie nie nosiłam butów. Nie wiedziałabym nawet jak je ubrać” – po czym wstaje i odchodzi, wykrzykując przesyczone radością słowa, jak Bóg nas wszystkich błogosławi, jakie ma szczęście spotykać dobrych ludzi, jak dobrze, że ryż jeszcze wzrasta. Spod przykrótkiej chusty wystają chude łydki i kostki, popękane pięty i paznokcie, które już dawno powinny być obcięte. Kapelusz skrywa starannie zaplecione siwe włosy. – „Jakiż ja mam piękny kapelusz” – stwierdziła swego czasu, rozbawiając towarzystwo siedzące tuż obok niej.

Druga z kobiet podchodzi do życia raczej z dystansem. Jest najniższa i nieco pulchniejsza. Dawniej przychodziła z koleżanką, gdyż na misji opatrywano ich trędowne rany. Kompanka zmarła dwa lata temu, pozostawiając ją nieco osamotnioną

w chorobie. Nigdy nie zdradza prawdy. Raz myszy podgryzły jej kostki, raz poparzyła rękę podczas przygotowywania posiłku. Ubiera się również skromnie, choć nigdy nie braknie na jej szyi połyskujących perełek, a na nosie wielkich młodzieżowych okularów przeciwsłonecznych. Trąd przejął jej jedno oko, choć sam nie wiem, przed czym chronią ją binokle. Może przed słońcem, może przed bólem, a może po prostu przed ludźmi? W rękę trzyma fioletową siatkę, w której chowa potencjalne podarunki z misji. Pociągła twarz nie jest już w stanie podtrzymać skóry i mięśni, więc wszystko swobodnie zwisa, tworząc charakterystyczny podbródek. Wielkie uszy czasem przyozdabia klipsami. Zanim odejdzie, odpoczywa jeszcze chwilę na murku otaczającym wielkie rozłożyste drzewo tuż obok misyjnego domu. Czekają ją przecież długa droga, która bez pomocy przyjaciółki dłuży się podwójnie.

I wreszcie trzecia z kobiet... Wydaje mi się najbardziej przestraszona, opuszczona, zaniedbana. Rozmawiając z nią, odniosłem wrażenie, że mieszka gdzieś na bazarze, skrywając się przed deszczem pod wolną blachą falistą. Niezwykle pomarszczona, fałdy zwisającej starej skóry sprawiają, że człowiek nie widzi za bardzo wychudzonego ciała. Zgarbiona podpira się kijem, choć swobodnie kuca, przyciskając uda do klatki piersiowej. Ma zaledwie kilka zębów, zżartych przez kamień i próchnicę. W osmolonej malgaskiej torbie z rawinalii trzyma woreczek z portmoneką. W niej zaś zaledwie dwa, trzy banknoty, które wystarczą na małą bułkę bądź garść cebuli. To cały jej dobytek. W zeszłym roku, kiedy w kwietniowe noce temperatura spadała o dobrych kilkanaście stopni, prosiła o prześcieradło, by jakkolwiek się ogrzać. Pierwsze, drugie, piąte... Każdej nocy okradano ją z okrycia, świec, nawet tych kilku garści ryżu, które odbierała na misji. Życie niektórych nie oszczędza. Jej wzrok jest niezwykle wymowny – oczy przestraszonego człowieka. Człowieka, który zmaga się każdego dnia z życiem, który chce przetrwać, który szuka nadziei. Czy mogłem zrobić dla niej coś więcej? Czy potrafiłem dać jej tę tak bardzo wytęsknioną nadzieję?

Kiedyś nie poprosiła o ryż ani o świecę. Widok płaczącej, doświadczonej latami kobiety jest trudny. Jest trudny i porywający. Jest wzruszający. W sercu wróciła chwila, w której to Farazandry płakał w tym samym miejscu, prosząc o jedzenie, a i być może o przyjaźń. Siedząca na posadzce werandy zapłakana Malgaszka wyciągnęła wówczas 300 ariarów i wznosząc je do góry, prosiła o pomoc. Zmarł jej wnuk z Tsimijaly, a ona nie mogła go godnie pożegnać. Nie mogła po raz ostatni spojrzeć na twarz osoby, którą zapewne wychowywała i którą przede wszystkim kochała. Nie ma dnia, w którym ktoś nie zapłakałby nad zmarłym, w którym nie wzywano by duchów przodków. W ten dzień słońce ani razu nie przedarło się przez ścianę ciemnych chmur. Może to po prostu malgaskie niebo płakało razem z nią...

Na początku był głód

Tylko w czwartki, kiedy odbywa się *tsena*¹⁴, czyli wielki bazar, schodzą się tłumy z wszelkich okolicznych wiosek, by handlować dosłownie wszystkim. Spektakularny jest dział spożywczy tego niewielkiego rynku! Głodne społeczeństwo wystawia wówczas wory pełne najróżniejszych gatunków roślin strączkowych, kosze wypełnione po brzegi suszonymi rybami i krewetkami, tony czerwonych batatów i masywnego manioku oraz przepięknie ułożone w równych rzędkach inne warzywa. Kilka tygodni temu raczyliśmy się bakłazanami i cukinią, zaś teraz rozpoczął się sezon na cebulę, a zielony szczypiorek pierwszy rzuca się w oczy na tle ceglastej ziemi. Wzrasta również głód, który nie ustępuje kroku malgaskiej rzeczywistości i jest pewny jak

¹⁴ Z malg. rynek, bazar. Jest to szczególnie duży bazar odbywający się raz w tygodniu. W Mampikony duży bazar odbywa się w czwartki.

coczwartkowa *tsena*. Dzieci niezmiennie chorują na malarię, nadal jest mnóstwo niedożywionych na ulicach tego niewielkiego miasteczka. Światowe organizacje cieszą się z sukcesu 2015 roku – głoduje tylko nieco mniej niż 800 milionów ludzi na świecie, czyli o 200 milionów mniej niż w latach 90. XX w. Mampikony dawno nie doświadczyło międzynarodowego wsparcia, choć nadal przystojny Brad Pitt i pociągająca Angelina Jolie walczą z głodem na świecie.

Przechadzając się nieśpiesznie po tych wąskich uliczkach, jestem bombardowany tysiącem pozdrowień i powitań. Choć wstyd się przyznać, rozpoznaję zaledwie garstkę tych serdecznych ludzi. Czasem to byli pacjenci bądź rodzice opatrywanych dzieci, czasem to mieszkańcy wiosek, które odwiedzałem. A czasem zaś to sprzedawcy, od których już dawno nic nie kupiłem. Mijam grubawą Malgaskę, handlującą kokosami i białą fasolą. Namawia mnie na kawałek orzecha zamoczonego w mętnej wodzie. Nie zatrzymując się, rzucam malgaskim żartem. Takiej serdeczności nie spotkałem dotychczas w żadnym supermarkecie.

Nie omieszkam zajrzeć do *Vaiivy Bota Be*¹⁵, która handluje koszulkami i szortami europejskiej jakości. Pantalony, choć używane, cieszą się zdecydowanie większym zainteresowaniem niż drogie, jeszcze nowe, chińskiej produkcji spodnie. Odzież od „Grubej Pani” wytrzymuje ręczne pranie w rzece, nie blednie na słońcu, nie pruje się, a materiał zdaje się być mocniejszy. Jako stały bywalec otrzymuję cenowy upust o 1000 ariarów (około 75 gr)! Kobieta, niezwykle sympatyczna i rozmowna, siedzi zwykle na prowizorycznym, kilkunastometrowym stoliku, razem ze stertą cuchnących stęchlizną ubrań. Tylko opuchnięte stopy wystają spod składanych przez nią koszulek z nowej dostawy. W porze sjeisty przewraca się na bok i zasypia w dobytku swojego życia. Kilkanaście kroków dalej, jeszcze w alejce z ubraniami, zagaduje mnie niewielka Malgaska o jasnej karnacji. Sprzedaje podrabiane, chińskie sportowe szorty i koszulki. Nie oszukuje, a zakupy u niej nie wymagają pięciominutowych negocjacji ceny danego towaru. Udamę się do niej, by kupić czarne lub czerwone spodenki na zajęcia wychowania fizycznego dla chłopaków z domu dziecka. Czasem siedzi samotnie i z podpartą ręką przygląda się toczącemu się na bazarze życiu. Ciekawe o czym wówczas myśli? Ciekawe czy jest szczęśliwa? W jednej z rozmów opowiedziała mi o swojej pracy. Każdego ranka o godzinie czwartej rano rozstawia swoje niewielkie stoisko i po kolei wyciąga poskładane, pochowane w odpowiednich workach ubrania. Co lepsze wiesza na wieszakach, tańsze układa na macie położonej na ziemi. Wszystko grupuje kolorystycznie: czerwone do czerwonych, zielone do zielonych, pomarańczowe do pomarańczowych. Składanie towaru rozpoczyna około godziny siedemnastej, by za niespełna dziesięć godzin rozpocząć wszystko od nowa.



W 2015 roku uczestniczyłem w światowej konferencji na temat głodu na świecie. Rozmawialiśmy o ewentualnych możliwościach wykarmienia głodnej planety. Zorganizowane w Australii spotkanie zrzessało stu młodych aktywistów, którzy debatowali o nowych technologiach, organizmach genetycznie modyfikowanych, marnowaniu żywności i braku bezpieczeństwa żywnościowego w ogóle. Podzielono nas na pięć grup, w których moderatorem był doświadczony już mentor, pracownik wielkiej korporacji. Moją grupą opiekowała się szczupła i dość wysoka kobieta z Nowej Zelandii. Gdy koncentrowałem się na problemach głodujących dzieci na Madagaskarze, zbiła mnie jednym zdaniem: „Nie przyjechaliśmy tu dyskutować o Afryce”.

¹⁵ Z małg. bardzo gruba kobieta.

Daniel Kasprowicz
(ur. w 1990 r.) –
dietetyk kliniczny,
pielgrzym,
podróżnik,
blogger, absolwent
Gdańskiego
Uniwersytetu
Medycznego.
Od 2014 roku
posługuje na
Madagaskarze,
zajmując
się zarówno
niedożywionymi
dziećmi, jak
i chorymi na
malarię, tyfus
i trąd. Autor
artykułów
naukowych
traktujących
o bezpieczeństwie
żywnościowym
w krajach
rozwijających
się i książki
*Kilasymandry.
Jak Madagaskar
nauczył mnie
kochać* (2015).

Do końca sesji nie wypowiedziałem już żadnego słowa. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie chcemy zbyt rozmawiać o głodzie, paradoksalnie nawet na debacie poświęconej temu problemowi. Być może jest to temat zbyt niewygodny, być może jest to zbyt duża plama na naszym ludzkim honorze, której nie jesteśmy w stanie sprać, a więc którą trzeba przysłonić czymś innym. – „Kiedy byłem mały, poszliśmy z bratem i ojcem pracować przy wydobywaniu kamieni. Szliśmy w upale kilka godzin, po czym pracowaliśmy w warunkach jeszcze trudniejszych. Byłem dzieckiem i wtedy wszystko wydawało mi się takie trudne. Wieczorem ojciec przygotował ryż z dodatkiem liści *felky mafana*. We dwójkę zjadali się do syta. Odmówili mi posiłku, tłumacząc, że zjem po powrocie do domu babki. Byłem bardzo głodny, a myśl, że trzeba wrócić jeszcze tyle kilometrów przerażała. Szliśmy. Pierwszy, drugi, trzeci kilometr. Kiedy padłem z wycieńczenia, ojciec nawet nie zauważył. Dopiero po kilkunastu minutach cofnął się z bratem, by przywołać mnie do porządku” – tak rozpoczęła się historia Farazandry’ego, mojego adoptowanego syna. Podczas tej pamiętnej rozmowy wstrzymywał oddech. Kiedy spływały łzy po jego kościstych policzkach, wycierał je pośpiesznie. Nie jadł nic przez kilka ostatnich dni. „Na początku był głód” – pisał prof. Marek Konarzewski, autor książki o tym samym tytule.

Niemniej moja historia kończy się szczęśliwie. Pomimo cierpienia, głodu i szans bezpowrotnie utraconych, Malgasje są najlepszymi nauczycielami miłości. Jak dotąd nie spotkałem nikogo, kto mógłby kochać tak bezgranicznie i bezwarunkowo. Kto uśmiechałby się takim uśmiechem i kogo oczy byłyby tak piękne. I kto by tańczył tak, jakby świat nie istniał, jakby natchnął ich sam *Zanahary*. I sam już do końca nie wiem, ile Afryki w mojej Afryce, gdyż podjąłem podróż nie przez czerwony lateryt i pustkowia, nad którymi unoszą się duchy przodków, a przez serca tych ludzi.



„Czasem to byli pacjenci bądź rodzice opatrywanych dzieci”.

Agnieszka Szelega

Wybuchowe dorastanie O książce Alexandry Fuller *Dziś wieczorem nie schodźmy na psy. Afrykańskie dzieciństwo*

Malowniczy krajobraz Derbyshire i wyżynno-nizinne tereny angielskiego hrabstwa wydają się idealnym miejscem na przeżycie beztroskiego i pełnego łobuzerskich wybryków dzieciństwa. Kraina kusi i przyciąga srogim wyglądem, nieokreśloną przestrzenią i zapowiedzią pełnej wyzwania przygody. W 1966 roku rodzina Fullerów z roczną córeczką Vanessą postanawia opuścić Derbyshire i przeprowadzić się do pochłoniętej wojną Rodezji. Afrykańskie farmy, leniwe poranki na werandach lichych domostw i wszechogarniające wilgotne powietrze naznaczą wczesne lata afrykańskiego życia angielskiej rodziny i ich dwóch córek. Obskurne ściany szpitali i tragiczne w skutkach popołudnie pozostawia już na zawsze zadrę w sercu angielskich rodziców, zmuszonych pogodzić się ze śmiercią trójki dzieci. Wrogi wzrok tubylców czekających na skromny przydział żywności zostanie w pamięci Alexandry Fuller, podobnie jak zmieniające się opiekunki, wtargnięcie rządowych żołnierzy do rodzinnego domu, wybuch miny pod autobusem pełnym afrykańskich pasażerów czy niecierpliwe oczekiwanie na zbawienny dla plonów deszcz.

Wiele lat później panna Fuller rozprawi się z tymi wydarzeniami w książce *Dziś wieczorem nie schodźmy na psy. Afrykańskie dzieciństwo*. Pisarka zaskakuje bezkompromisową szczerością i momentami bezemocjonalnym językiem, opisując prywatne momenty i tragedie rodzinne oraz nieustannie towarzyszący strach o życie. Jednak nie znajdziemy w tej opowieści żalu, wytykania błędów czy moralizatorstwa nawet w opowieściach o alkoholizmie i szaleństwie matki, które są codziennymi towarzyszami rodziny. W afrykańskich wspomnieniach nie brakuje przede wszystkim rasizmu, którym była przepełniona mentalność angielskich osadników. Oprócz Rodezji, Fullerowie mieszkali również w Malawi i Zambii, doświadczając zarówno codzienności naznaczonej lękiem przed zbuntowanymi partyzantami, jak również niepewności decyzji rządów krajów już niepodległych. Niezwykle intrygujące jest przyjrzenie się historii przeciętnej europejskiej rodziny na afrykańskich ziemiach kolonialnych szczególnie teraz, gdy w dzisiejszym Zimbabwe wciąż rządzi Robert Mugabe, w przeszłości nadzieja Afrykańczyków, dziś uważany za tyrana. Kiedyś Rodezyjczycy gotowi byli oddać życie za niepodległy kraj, dziś narażają je, biorąc udział w protestach przeciwko rządowej represji.

Biali, nadzieja Czarnego Łądu. Mama małej Alexandry, upojona alkoholem i dźwiękami cykad marzy o choć jednym afrykańskim kraju rządzonym przez białych. Otoczona czarną służbą, polami tytoniu i kukurydzy oraz wilgotnym powietrzem wbijającym się w nieprzystosowane nozdrza, słucha programów w radiu BBC, tęskni za Szkocją i przeklina rewolucję Afrykańczyków, nazywaną Chimurengą. Ziemia kolonialna to już własność białych: „Biali nie nazywali rewolucji Chimurengą. Nazywali ją 'kłopotem', 'cholernym bezsenssem'. A czasem 'tą wojną'. Wojną wzniecaną przez 'aroganckich czarnuchów', 'bezczelnych bambusów', 'awanturniczych Murzynów', nerwowych tubylców, 'kaffirów'”. Ci, którzy marzą o niepodległości to nie tylko terroryści, których nocami boją się siostry Fuller. To także służący i niańki towarzyszący dziewczynkom przez całe dzieciństwo, mężczyźni pracujący na

rodzinnej farmie czy bezimienny dla Alexandry chłopiec maczający pajdy chleba w herbacie, fuj! Czarnymi się „zarządza”, a nie z nimi integruje, czego Alexandra uczy się od najmłodszych lat. Zamiast w chowanym, bawi się w rozkazywanie służbie, robiąc wielkie, zdziwione oczy, kiedy niania tłumaczy upartej dziewczynce, że jest za mała, aby „szefować”. Zamiast pluszowego misia dostanie broń, którą musi nauczyć się strzelać. Pomimo niezwykle młodego wieku, z zapalę dorosłego zabiera się do niebezpiecznego zadania: „Za to ja chcę być jak żołnierz, z entuzjazmem więc czyszczę i ładuję strzelbę taty oraz uzi mamy, ale broń jest dla mnie zbyt ciężka i wyglądam jak insekt zwisający z końca strzelającego żelastwa. Muszę opierać broń o ścianę, by siła odrzutu nie zwała mnie z nóg. Wolno mi też używać pistoletu mamy, ale nawet od tego boli mnie nadgarstek, a ramię drży od wystrzału”. Afrykańska farma białych Europejczyków rządzi się swoimi prawami, ale oprócz konieczności posługiwania się bronią oferuje nastoletniej Alexandrze inne, równie pociągające atrakcje. Równouprawnienie w picu alkoholu i paleniu papierosów dotyczy wszystkich członków rodziny, bez wyjątku. Wspólny wypoczynek i święta charakteryzują się wesołym upojeniem i pozorną bez troską. Adrenaliny dodaje młodej dziewczynie możliwość jazdy konnej, na motocyklu i samochodem terenowym, którym nadzoruje uprawę rodzinnych pól. Takich umiejętności nabranych podczas dzieciństwa zapewne nie doświadczyli rówieśnicy pisarki w Derbyshire. Na szczęście obce im były krwawe obrazy i bezustanna obawa przed nagłym atakiem wroga.

Wroga była Afryka dla dorastającej Fuller. Rodezja w czasie wojny to mieszanka dzikiego piękna i zniszczenia: „Jedziemy przez niesamowity krajobraz. Wojna nadała mu dziwny, przerażający wymiar, jakby ktoś rzucił urok na zamek Śpiącej Królowej. Wszystko wydaje się czekać, wstrzymać oddech przed wybuchem miny. Wszystko trwa w niepewności, uważne, podejrzliwe. Z krzaków może nagle rozlegnąć się huk kałasznikowów – zostaniemy podziurawieni przez kule, pozbawieni warg i uszu, na drodze wśród topniejącego plastiku i powyginanych metalowych części samochodu”. Obecność martwych ciał i błagających o pomoc Afrykańczyków nie była dla małej Alexandry obca. Pewnego razu jechała z mamą i siostrą samochodem, gdy jadący przed nimi autobus wjechał na minę. Dziewczynka posłusznie schyliła głowę, ale siostra opisała jej później przerażające widoki. Z książki może wynikać, że pani Fuller, której opatrywanie rannych nie było obce, nie pomogła ofiarom tamtego wypadku, bo opowieść w pewnym momencie i niespodziewanie się urywa. Pisarka zwyczajnie przechodzi do kolejnej anegdoty.

Dziś wieczorem nie schodźmy na psy czyta się jak zlepek historii, których napięcie nie jest systematycznie budowane. Pojawia się nieregularnie i spontanicznie, podobnie jak okrucieństwo i radość. Jedno tylko nie zmienia się w książce Fuller, ton. Tak samo autentyczny, nieubarwiony sentymentalnymi opisami, niebiorący stron. Mimo tego, afrykańskie zapiski urzekają pięknym językiem, który unosi się ponad całą historię. Czuć miłość do Afryki, o której pisarka nie wyraża się wprost.

To, co białe, jest lepsze. W przypadku ziemi i zwierząt to akurat żadna przesada. Europejscy osadnicy dbają o swoje tereny, a drzewa i krzewy wyrastają tam bujne i okazałe. Domy, mimo że już stare, są porządnie zadbane, a farmy nadzorowane. Miejsca zamieszkałe przez Afrykańczyków porażają biedą i niechlujstwem: „Z gołej, zmęczonej ziemi wyrastają tylko zielone kłujące euforbie, które, gdy złamać ich łodygę, krwawią trującym, piekącym mleczkiem. Szkoły wyglądają jak po bitwie, okna powybijano kamieniami, nabojami i pociskami mózdzierzowymi. Tynk podziurawiony jest od kul. Chaty i niewielkie domy stoją otwarte, narażone na niebezpieczeństwo; drzwi zrobione są z płyty pilśniowej albo worków. Dzieci, kury i psy grzebią w suchej, czerwonej ziemi i gapią się na nas, kiedy jedziemy tak przez ich